

**Kazanie wygłoszone przez ks. Marcina Orawskiego podczas nabożeństwa otwierającego 11. sesję XIV kadencji Synodu Kościoła Warszawa, 15 października 2021 r.**

*(39) Badacie Pisma, bo sądzicie, że macie w nich żywot wieczny; a one składają świadectwo o mnie;*

*(40) ale mimo to do mnie przyjść nie chcecie, aby mieć żywot.*

*(41) Nie przyjmuję chwały od ludzi,*

*(42) ale poznałem was, że nie macie w sobie miłości Bożej. J 5,39-42*

Za niespełna miesiąc, 11 listopada, będziemy mogli uczestniczyć albo oglądać patriotyczne Marsze Niepodległości. Od kilku lat, przynajmniej w stolicy i w innych dużych miastach, mają one dość burzliwy przebieg. Być może i w tym roku wśród skandowanych i wypisanych na transparentach hasel pojawi się i taki: „My chcemy Boga”. Taka piękna deklaracja.

Trudno jednak nie zastanowić się co te słowa znaczą w ustach młodzieży zasłaniającej kominiarkami twarz oraz identyfikującej się jako narodowa, a nawet nacjonalistyczna. Dziwnie wygląda ten transparent w zestawieniu z: „Śmierć wrogom ojczyzny” albo „Uchodźcy wyp...” (pójdźcie sobie). Może rację ma karykaturzysta, który podejrzewa, że na transparencie „My chcemy Boga” znalazł się błąd literowy i napis powinien brzmieć: „My chcemy wroga”.

Nie chciałbym wchodzić w ten temat, który szybko zyskuje kontekst polityczny, mam jednak pewne spostrzeżenie, do którego te obrazy mnie prowadzą.

Wiadomo, że najlepiej zarządza się – żeby nie powiedzieć manipuluje – ludźmi, którzy są między sobą podzieleni i skłóceni. To jeden z oczywistych powodów, dla którego, pod przykryciem idei Boga, nieraz otrzymujemy właśnie wroga.

Przez wiele lat słyszeliśmy o globalnych spiskach żydowskich. Oddziaływanie tej narracji na płaszczyźnie „dziel i rządź” nie było zbyt przekonujące.

Pojawił się jednak kryzys migracyjny, a potem ktoś zauważył, że politycznie da się wykorzystać LGBT+. I od kilku lat, mamy narodowy spór – żeby nie powiedzieć mocniej – a to o migrantów, a to o LGBT.

Widać to także na forach kościelnych. Mało który temat wywołuje tak wielkie emocje i podziały. Pod każdym wpisem znajduje się kilka razy

więcej komentarzy niż pod innymi wątkami. I nie są to dyskusje, które określilibyśmy, jako przebiegające w duchu chrześcijańskiego szacunku. Wydaje się, że wiele rozgraniczeń nie przebiega dziś między Kościołami czy wspólnotami chrześcijańskimi, ale w ich poprzek. Podzieleni są katolicy, ewangelicy i ewangelikalni. Bywamy wewnątrznie poróżnieni odnośnie praw człowieka, rozumienia wolności, patriotyzmu, a nawet ekumenizmu.

Rodzi się trudne pytanie, przed którym osobiście odczuwam lęk? A może ja też potrzebuję wroga? Może wróg – choć unikam tego określenia – pozwala mi budować własną tożsamość, samookreślać się?

Chciałbym zapytać czy w zgiełku zażartych sporów, biblijnej szermierki, wystrzeliwaniu z klawiatury „prawd najbiblijniejszych” nie zostaje zgubiony człowiek, jego poszukiwanie pomocy, cierpienie, jego ból...

Niedawno spotkałem dziewczynę, właściwie kobietę. Miała dwadzieścia kilka lat, ale wyglądała na 18. Drobna, niektórzy powiedzieliby przeźroczysta. Gdy była nastolatką, aktywnie działała w parafialnej grupie młodzieży. Niestety w tym czasie też ostatecznie do niej dotarło, że nie jest heteroseksualna. To był prawdziwy cios.

Mówiła, że nie jest w stanie policzyć ile podejmowała prób zaprzeczania, ile modlitw, ile wysiłków, aby samą siebie przekonać, że jest „normalna”. Była wierząca, poszła więc do swego księdza, ale została wyrzucona. Na schodach plebanii powiedział jej, żeby więcej się modliła i przestała oglądać Netfliksa, a fanaberie jej miną. Spróbowała w innej parafii, tam – mówili jej – jest fajny ksiądz, pogadaj. Fajny ksiądz polecił jej... więcej się modlić i zamknął drzwi. Przeżyła załamanie i podjęła próbę samobójczą. Gdy przebywała w szpitalu, zainteresował się nią kapelan, który był zakonikiem działającym też w duszpasterstwie akademickim. Cieszyła się, że ktoś z nią rozmawia. Kapelan zapewnił, że bracia modlą się o nią. Poczuli się lepiej. Gdy wyszła ze szpitala bracia zaproponowali jej leczenie, czyli tak zwaną terapię konwersyjną.

Nie spodziewała się, że koszmar dopiero się zaczyna. Nie zliczy ile razy prosiła Chrystusa, aby wszedł do jej serca, ile razy błagała o uwolnienie od swej orientacji. Skończyła z przekonaniem, że tego grzechu Bóg jej nie wybaczy, wszak uzdrowienie nie nastąpiło, a dodatkowo – usłyszała – jej nawrócenie widocznie nie było szczere.

Czując się odrzucona przez Boga, obarczona przez ludzi poczuciem winy ponad siły, podjęła drugą próbę samobójczą.

Dziś nie chodzi do kościoła. Mówi – Być może Bóg mnie potępi, ale nie jestem w stanie myśleć o tamtym koszmarze. – Nie wrócę do Kościoła,

choć dałabym wiele za wspólną modlitwę i Komunię. Nie boję się piekła, piekło już przeżyłam.

Mam przed oczyma tę drobną i delikatną osobę, gdy czytam kipiące od biblijnych cytatów spory. Nie mam wątpliwości, one są też potrzebne, tyle tylko, że czym innym jest dyskusja o tak zwanej „ideologii” za pośrednictwem komputerowej klawiatury, a czymś zupełnie innym stanięcie twarzą w twarz z człowiekiem, w sytuacji gdy wszystkie wersety o: „obrzydliwości dla Pana” albo „idź i nie grzesz więcej”, muszą grzęznąć w gardle, zaś milczenie wobec złożoności życia i ludzkich doświadczeń wydaje się najbardziej ludzką postawą.

*Badacie Pisma, bo sądzą, że macie w nich żywot wieczny; a one składają świadectwo o mnie. (Ale) poznałem was, że nie macie w sobie miłości Bożej.*

Żaden werset ostatnio nie wywołuje we mnie takiego poczucia winy jak ten. Z drzeniem myślę o tym, co poszło nie tak, że ludzie poturbowani przez życie boją się nieraz przyjść do Kościoła, wołają organizacje, o których wielu z obrzydzeniem mówi – lewackie? Czy baliby się przyjść też do Chrystusa?

I nie mam na myśli jedynie przytoczonej historii. Nie mam na myśli jednego przykładu, który ktoś nazwie marginesem.

Myślę także o marznących na granicy dzieciach oraz o wielu ludziach, którzy są znacznie bliżej, ale często są zbyt przeźroczyści, jakby zasłonięci dymem sporów o prawowierność, w których za wszelką cenę trzeba wskazać przeciwnika (wroga) lub jakiś podział przynajmniej.

Czy naprawdę tak trudno kierować się miłością, którą otrzymujemy od Boga? Tak ciężko o niej mówić, bez ulegania pokusie dokonywania osądów?

Kilka dni temu zostałem zaproszony do udziału w modlitwie o prześladowanych chrześcijan. Pomyślałem, warto!

Przypomniałem sobie jednak, że kilka lat temu, gdy pojawiła się pierwsza poważna migracja przez Morze Śródziemne i wielu z uchodźców utonęło, też została zorganizowana ekumeniczna modlitwa w intencji ofiar. Poszedłem z pełnym przekonaniem. Biskup katolicki modlił się jednak prawie wyłącznie za chrześcijan, ponieważ już na początku zacytował werset: „Dobrze czynimy wszystkim, a najwięcej domownikom wiary.” Ga 6,10. Poczulem rozczarowanie i przypomniała mi się tamta sytuacja teraz. Zapytałem więc: „Czy o cierpiących niechrześcijan, też będziemy się modlić?”. W odpowiedzi usłyszałem, że naszymi siostrami i braćmi są ci,

którzy słuchają słów Jezusa (Mk 3,31-33), a troszczyć się mamy głównie o domowników wiary.

Nie poszedłem. Nie potrafiłem się modlić jedynie za chrześcijan, mając przed oczyma marznące w lesie dzieci, tulące pluszaki – być może jedyną namiastkę bezpieczeństwa, która im jeszcze pozostała... Nawet jeśli za nimi czai się cień Putina z Łukaszenką. Czy nawet w modlitwie muszą istnieć podziały?

Czułem się jednak źle. Myślałem, co jest ze mną nie tak? Dlaczego czuję rozczarowanie słysząc w tym kontekście te wersety biblijne? Przecież „Sola scriptura”, między innymi, określa moją ewangelicką tożsamość. Z sola scriptura zawsze byłem taki dumny, dlaczego więc mam problem?

A może chodzi o to, że troska o czystość Słowa, czasem zbyt mocno przypomina czczenie jego litery? Może wspaniałe i ważne spory egzegetyczne, mające na celu docieranie do najczystszej nauki i najprawdziwszej doktryny, przekształcają się nieraz w miedź brzęcząca, gdy pod pozorem pobożności ukrywa się poczucie bezradności, albo – co gorsza – brak miłości?

Czy faryzeusze nie byli wykwalifikowanymi specjalistami od Pisma? Czy paradoksalnie Pismo właśnie, litera, nie przysłaniały ducha, ponieważ zgubiono miłość? Czy ja sam jestem tak daleki od popełnienia tych błędów, jak chciałbym o sobie myśleć?

Poruszyła mnie wypowiedź Olgi Tokarczuk, która (nawiązując do myśli Mari Janion), zauważyła: *„Chorobą naszych czasów stał się literalizm – tendencja do ograniczającej myślenie dosłowności. Pierwszym jej objawem jest brak zdolności do rozumienia metafory. Towarzyszy jej skłonność do wydawania ostrych, pochopnych sądów, nie toleruje niejednoznaczności. (...)*

*Literalizm (...) jednowymiarowo traktuje prawdy objawione, nie zdając sobie sprawy z ich kontekstowości. Literalizm niszczy zmysł piękna i sensu, przez co nie pozwala tworzyć uważnej i pogłębionej wizji świata. (...) Zamyka horyzonty. Zamyka ludzkie umysły.”*

Wybaczcie, że dzisiejsze kazanie ma formę raczej świadectwa niż klasycznej homilii. Chciałem się nim podzielić z Wami, moimi siostrami i braćmi, ludźmi duchowo najbliższymi, choć w wielu tematach – o których będziemy rozmawiać, nawet spierać się – różniącymi się między sobą.

Doświadczenia, poszukiwania i niezliczone modlitwy prowadzą mnie do przekonania (być może mylnego, chętnie dam się poprawić), że warto

walczyć o swoje racje, ale nie warto tej walki uznawać za najważniejszą. Warto dbać o doktrynalną czystość, ale nie warto uczynić z niej dogmatu.

John Wesley napisał: *„Prawowierność lub słuszne poglądy w najlepszym wypadku są znikomą częścią religii. (...) Można mieć właściwe zdanie o Bogu, nie mając miłości do Niego (...) Szatan jest tego dowodem”*. (cyt. za A. W. Tozer „Szukając Boga”).

Najczystsza teologia może czasem przypominać bełkot, gdy nie stoi za nią miłość albo przynajmniej próba wysłuchania drugiego człowieka. Ewangelia to przecież dobra nowina. To pojednanie z Bogiem, a nie walka z innymi ludźmi. Dlatego życzę wszystkim nam pokoju i miłości. Niech zawsze łączą. Niech zawsze będą ponad tym, co nas różni. Amen.